

Szef

Doktor Andrzej Ziajka. Szef. Wszyscy tak o nim mówiliśmy, tak się do niego zwracaliśmy. Kiedy my rozpoczynaliśmy pracę, on był doświadczonym, w pełni ukształtowanym anestezjologiem. Rozpoczął swą życiową pasję – anestezję – w Poznaniu pod okiem ludzi, którzy tę dziedzinę medycyny tworzyli w Polsce od podstaw. Może to od nich przejął przekonanie, że tak młoda specjalizacja musi cały czas się rozwijać, badać, poznawać, a może po prostu była to jego cecha charakteru.

My wszyscy w jego zespole mieliśmy komfort, mieliśmy jego. A Szef cierpliwie przyglądał się młodym adeptom medycyny, patrzył, kto chce razem z nim iść przez zawodowe życie. Potem, jak ojciec, zaczynał nas usamodzielniać. Nie przepytывał jak w szkole z zadanego materiału. Rozmawiał na temat znieczuleń, prowadzenia pacjenta, korygował delikatnie i wiedział, na ile można pozwolić nam działać. W tej specjalizacji lekarz często jest sam i często ma problemy. Szef w jakiś wspomniały acz niezrozumiały przez nas sposób pojawiał się zawsze, gdy nasze możliwości, umiejętności się wyczerpywały. Wystarczało kilka rad, podpowiedzi, jakieś korekty i byliśmy spokojni, że dzięki niemu dla pacjenta zostało zrobione to, co potrzeba. Uczyliśmy się dzięki temu bardzo intensywnie, bo żadna teoria nie zastąpi Mistrza w działaniu.

Szef pokazywał nam, że intensywna terapia to przede wszystkim człowiek w potrzebie, bezbronny, którego bez odpowiedniego działania może za chwilę nie być. Nieważne nazwisko, ubezpieczenie, ważny jest człowiek. Szef pokazywał, jak leczyć najcięższe, najtrudniejsze choroby, ale uczył nas też, że na IOM-ie ważne jest wszystko, nawet drobiazgi, bo każde przeoczenie może się skończyć porażką. Miał wspaniałą cechę, którą mają tylko niektórzy – lekarski nos. To jest to, co różni artystę od rzemieślnika. Szef był artystą. Widział człowieka w całości, myślał, potrafił być krytyczny wobec badań dodatkowych, gdy nie były one jednoznaczne. Pokazywał, że pamiętanie o sprawach podstawowych jest wielokrotnie początkiem sukcesu w walce o pacjenta.

Rozwijaliśmy się przy nim i dzięki niemu. Zaczynaliśmy dyskutować, mieć swoje zdanie. Szef był z tego dumny i szczęśliwy, wiedział, że jest to warunek naszego rozwoju. Nie wiem, skąd brał dla nas cierpliwość. Nasz indywidualizm, nasze odreagowywanie stresów po ciężkim dyżurze. Było nam wolno bardzo wiele, pod warunkiem że pamiętaliśmy o tym, że pacjent jest najważniejszy.

Ale były też luźniejsze chwile, wtedy można było sobie pozwolić na żart, uśmiech, dowcip. Sam potrafił w ten sposób wspaniale rozładowywać trudne sytuacje. Dla pacjentów, dla ich rodzin był osobą, która koła strach, ból, cierpienie.

Często mieliśmy do niego pretensje, że nie rozstrzyga niektórych dyskusji w sposób jednoznaczny. Dziś myślę, że robił to celowo. Uczył nas w ten sposób samodzielności myślenia, umiejętności słuchania drugiej osoby, sztuki zawierania kompromisów. Przygotowywał nas do świata bez niego.

Szef odszedł. Ale my jesteśmy częścią niego. Obyśmy to, co on posiadał – mądrość, dobroć, zdolność do poświęcenia siebie dla drugiego człowieka – potrafili udźwignąć i nieść dalej.

Dziękujemy Ci, Szefie, za to wszystko, co nam dałeś, nam, lekarzom i pielęgniarkom, pracownikom OAiT w Koninie.